

LUIS GARCÍA
JAMBRINA

KAMIENNY
MANUSKRYPT

PRZEKŁAD
KATARZYNA JACHIMSKA-MAŁKIEWICZ



WYDAWNICTWO WAM
KRAKÓW 2012

Wstęp

(Salamanka, 20 września 1497 roku)

Nie zaczęło jeszcze dobrze świtać, kiedy fray Tomás de Santo Domingo wstał z posłania w swojej klasztornej celi u świętego Stefana. Noc spędził fatalnie: co rusz budził się zlany potem, przerażony nękającymi go koszmarami, które nie pozwoliły mu prawie zmrzyć oka. Jednak to nie zmęczenie po nieprzespanej nocy gnębiło go teraz, lecz dominujący lęk spowodowany dziwnym poczuciem niepokoju i całkowitego zagubienia. Fray Tomás był profesorem głównej katedry teologii – najbardziej prestiżowej katedry salmantyńskiego Studium Generale*. Przejął ją od samego biskupa Salamanki, Diega de Dezy, podobnie jak on sam teologa i dominikanina, przeobrażając w krótkim czasie w jeden z głównych bastionów Kościoła w mieście. Ten niewysoki zakonnik o wydatnym brzuszku, okrągłej jak bochen chleba i pomarszczonej twarzy oraz drobnych, niewieścich dłoniach traktował uniwersytecki pulpit jak kazalnicę, z której z elokwencją bronił prawd wiary i wzywał do wymierzania sprawiedliwości wszelkiego rodzaju heretykom, czarownicom czy wreszcie nawróconym Żydom podejrzanym o wyznawanie dawnej wiary (*rejudaistom*, jak zwykł ich określać). Kie-

* Profesorowie głównych katedr, nazywanych dosłownie *Cátedras de Prima*, czyli katedrami porannymi, prowadzili zajęcia wcześniej rano, co było uważane za oznakę prestiżu, a katedry teologii były w ogóle uznawane w średniowieczu za najważniejsze na uniwersytetach – *nota bene* nie wszystkie uczelnie posiadały uprawnienia do wykładania teologii. (Wszystkie przypisy w niniejszej książce pochodzą od tłumaczki).

dy tylko stawał na podium sali wykładowej, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeobrażał się w płomiennego obrońcę wiary katolickiej, w zaciekłego wojownika zbrojnego w potężny arsenał słów, ciskanych niczym śmiercionośne włócznie z fortecnych murów. Niektórzy uważali go za wybitnego i porywającego mówcę, podczas gdy inni wyrzucali mu zbyt ni rygoryzm i bezkompromisowość; w każdym razie nikt na Uniwersytecie nie był w stanie pozostać obojętny wobec jego wykładów. Nawet kiedy na tonących w błocie ulicach Salamanki zacinął deszcz ze śniegiem lub kiedy hulał po nich lodowaty marcowy wiatr z północy, do Aula Magna wydziału teologii, gdzie odbywały się wykłady fray Tomása, niezmiennie ściągał tłum zawsze chętnych do wysłuchania go studentów. Podczas wykładów część publiczności wychwalała go, urządzając prawdziwe owacje, podczas gdy inni go krytykowali lub wręcz ubliżali mu pod nosem. Liczni też byli ci, którzy słuchając, wpadali w ekstazę lub wręcz odwrotnie – byli prawdziwie zgorszeni. Nieraz też dyskusje rozpętanego jego słowami kończyły się najzwyczajszymi pyskówkami czy nawet bijatykami. Tymczasem, gdyby ktoś nieznający bliżej fray Tomása ujrzał go przypadkiem z dala od sali wykładowej, z pewnością nie byłby w stanie wyobrazić sobie, że ten niski i beczułkowaty jegomość, brzydki i odrażający jak ropucha, może wzbudzić w słuchaczach tyle entuzjazmu lub być powodem karczemnych awantur. W każdym razie sława, jaką zyskał dzięki swym wykładom, sięgała tak daleko, że trybunał inkwizycji w Valladolid mianował go doradcą Świętego Oficjum.

Przez dłuższą chwilę fray Tomás przechadzał się z posępną miną po krużgankach klasztoru, oddany bez reszty zawiłym rozważaniom. W głębi serca coś nie dawało mu spokoju, coś, do czego nie miał odwagi przyznać się nawet sam przed sobą. Nie był w stanie ustać spokojnie w jednym miejscu.

Jego duszą zawładnęła bolesna trwoga i wydawało mu się, że wszystko wokół źle mu wróży. Raptem poczuł potrzebę oddania moczu, co sprawiło, że skierował się w stronę niewielkiej furtki w narożniku dziedzińca, prowadzącej do ogródka. Nie chciało mu się iść do ustępu, mieszczącego się po przeciwnej stronie klasztoru, tuż przy ogrodzeniu oddzielającym zabudowania od Potoku Świętego Dominika, do którego służywały wszystkie miejskie ścieki – postanowił więc załatwić potrzebę na jednej z grządek uprawianych przez fray Antonia de Zamorę, pełniącego w klasztorze Świętego Stefana funkcję zielarza. W swoim ogródku brat zielarz z wielkim entuzjazmem i oddaniem hodował rośliny, których nasiona Krzysztof Kolumb przysłał klasztorowi w darze po powrocie ze swoich dwóch pierwszych wypraw do Indii. Był to z jego strony skromny gest podziękowania za wsparcie, jakiego swego czasu udzielili mu dominikanie, umożliwiając realizację jakże ryzykownych zamierzeń. Chodziły słuchy, że to właśnie Diego de Deza, były przeor klasztoru Świętego Stefana, spotkawszy się kilkakrotnie ze śmiałym żeglarzem w klasztornej sali zwanej *De Profundis* oraz w należącym do dominikanów wiejskim majątku w Valcuevo, nie dalej niż dwie mile od Salamanki, przekonał parę królewską do sfinansowania tej podróży.

Fray Tomás gardził bratem zielarzem. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś noszący dominikański habit może wkładać tyle sił w uprawę i studiowanie roślin, zamiast poświęcić się studiom teologicznym i głoszeniu słowa Bożego. Obecnie największą ambicją fray Antonia było skiełkowanie nasion przywiezionych z Nowego Świata i wyhodowanie owoców nieznanych tu roślin, podczas gdy przedmiotem działań fray Tomása było – ni mniej, ni więcej – sławienie imienia Pańskiego poprzez plewienie chwastów herezji i bezustanną walkę z Szatanem. No a poza tym, czegóż dobrego moż-

na się spodziewać po czymkolwiek, co pochodzi z ziemi zamieszkaney przez niewiernych? Fray Antonio był święcie przekonany, że należy działać w dokładnie przeciwnym kierunku, rozpoczynając jak najszybciej przeszczepianie słowa Bożego do Nowego Świata. Wychodził z założenia, iż wiara, której się nie krzewi i która nie kwitnie bez ustanku, to wiara martwa.

Oddając moc, nie był w stanie powstrzymać westchnienia ulgi, co sprawiło, że poczuł się zgorzony. Oto on, człowiek, który tak bardzo gardzi koszmarami cielesnego zniewolenia, odczuwa tak przeogromne ukojenie, opróżniając pęcherz. „Gdyby to samo można było zrobić z duszą”, westchnął w myślach. Otworzyć zawór i bez żadnych dodatkowych zabiegów wypróżnić gdzieś swoje sumienie, oczyścić je z poczucia winy i z wyrzutów natury moralnej, bez potrzeby uciekania się do sakramentu spowiedzi. Jednak już sama ta myśl była niebezpieczną herezją, tak że natychmiast wymazał ją z pamięci. Nie dało się ukryć, że były takie grzechy, które niełatwo jest opisać słowem, ciężary, których nie bardzo wiadomo jak się pozbyć, choćby nie wiem jak bardzo się chciało.

Kiedy tylko znalazł się z powrotem na klasztornym dziedzińcu, poczuł, że już najwyższa pora, żeby podzielić się z kimś swymi lękami i... grzechami. Niewątpliwie przeor nie był najodpowiedniejszą ku temu osobą – fray Tomás potrzebował kogoś bardziej godnego zaufania, lepiej przygotowanego i obdarzonego większym autorytetem. Przypomniawszy sobie, że podczas pobytu w Salamance biskup niemal codziennie chodzi skoro świt pomodlić się w jednej z kaplic katedry. Jeżeli więc się pospieszy, spotka się z nim przed wejściem do kościoła. Tak, biskup jako jedyny był w stanie go zrozumieć i wybaczyć, choć z drugiej strony był też jedyną osobą, która mogła zrobić użytek z wstydliwego sekretu fray

Tomása. Równocześnie jednak Diego de Deza był przecież jego przyjacielem i mistrzem, a na dodatek winien mu był niejedną przysługę. Ale jeżeli okaże się, że pomimo to... Cokolwiek miałyby się stać, nie mógł dłużej zwlekać. Mimo iż był ciągle jeszcze bez śniadania, wybiegł pędem na dwór i nie wzywając żadnego ze sług, żeby mu towarzyszył, ruszył przed siebie, jakby niosła go iscie czaricia siła, choć w rzeczywistości jego zamiarem było przecież umknięcie przed zakusami Złego.

Kiedy tylko znalazł się na ulicy, poczuł w kościach poranny wilgotny chłód. Otulił się płaszczem i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę katedry. Świątynia nie znajdowała się daleko. Po przejściu przez mały mostek nad Potokiem Świętego Dominika i po przecięciu ulicy Świętego Pawła, fray Tomás zaczął ociężale wspinać się podejściem Biczowników. Mniej więcej w połowie wznoszącej się do góry drogi przechodziło się tu przez otwarte podwoje jednej z bram należących do starych miejskich murów; była to brama pod wezwaniem świętego Sebastiana. Dominikanin prześlizgnął się przez nią cichaczem, jakby obawiał się natknąć na kogoś, po czym zagłębił szybko w labirynt ciemnych uliczek.

O tej porze, kiedy noc ustępowała miejsca światłu dnia, Salamanka miała w sobie coś mrocznego i widmowego, była niczym uśpiony wielki potwór, który w każdej chwili może się obudzić i to w złym humorze. Jeżeli nadstawiło się ucha, można było usłyszeć oddech bestii, a nawet poczuć fetor jej ohydny tchnienia. Nagle fray Tomásowi wydało się, że ktoś go śledzi, czając się wśród ulicznych cieni. Zaczął się rozglądać: popatrywał to w jedną, to w drugą stronę, nie zwalniając przy tym kroku. Spieszyło mu się. Bez względu na wszystko powinien się jak najszybciej wypowiedać, żeby uwolnić się wreszcie od straszliwego ciężaru, będącego te-

raz realnym zagrożeniem dla jego zdrowych zmysłów. Nagle gdzieś w pobliżu zaczęła pohukiwać sowa, wzbudzając w nim uczucie panicznego lęku. Na wysokości Kolegium Świętego Bartłomieja jeszcze bardziej przyspieszył, gdyż zdało mu się, że dojrzał jakiś podejrzany cień, przemykający niczym jaszczurka po ścianie budynku. Musiał jeszcze tylko prześlizgnąć się obok ostatniej grupy domów po lewej stronie. Umyślnie stąpał głośno, żeby nie czuć się tak samotnie, jednak echo jego własnych kroków, dochodzące do niego gdzieś z tyłu, sprawiało, że bał się jeszcze bardziej. Wreszcie zza zakrętu wyłonił się plac Azogue Viejo, a w głębi przyjazna sylweta katedry.

Fray Tomás postanowił wejść do świątyni przez bramę Azogue, znajdującą się od strony placu, ale okazało się, że jest zamknięta. Nie miał innego wyjścia: musiał okrążyć wieżę dzwonnicy, kierując się w stronę głównej bramy. Po drodze najpierw o mały włos nie wpadł do rowu wypełnionego wodą, a potem potknął się o wystającą kamienną płytę. Kiedy wreszcie dotarł do Portyku Pokuty, zatrzymał się na moment, żeby nieco odpocząć. Ledwo dyszał. Wtem zdało mu się, że poza własnym sapaniem słyszy odgłosy zbliżających się kroków. Było za późno, żeby próbować uciec. Z gęstego mroku otaczającego wejście do kościoła wyłonił się nagle jeszcze ciemniejszy cień, który rzucił się na niego, powalając na ziemię. Ze swojej nowej pozycji całkiem wyraźnie zobaczył, jak napastnik wyjmuje spod oponczy nóż i bez słowa zaczyna dźgać go raz i drugi w brzuch, w pierś i w bok między żebrami. Sparaliżowany strachem, nie był w stanie nawet zawołać o pomoc. Gdy wykrwawiał się, leżąc na ulicy, miał jeszcze czas, żeby z konsternacją pomyśleć o tym wszystkim, co mu się właśnie przydarzyło. Nie martwił go tak bardzo fakt, że został zasztyletowany u samych wrót katedry, ile to, że umiera bez spowiedzi, obciążony po-

nurym sekretem i poczuciem winy, od których nie będzie się w stanie uwolnić na wieki wieków.

– Spowiednika! – wyszeptał, wydając ostatnie tchnienie.

Niedługo później znalazł go zakrystian. W pierwszej chwili pomyślał, że to żebrak, który postanowił wstać o świcie, żeby zająć najlepsze miejsce do zbierania jałmużny, po czym, znużony, przysnął. Jednak niemal natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo się myli. Ciało leżało w wielkiej kałuży krwi. Lewa ręka poszkodowanego, zgięta w łokciu, spoczywała na brzuchu, jakby próbował dłonią zatamować krwotok; druga zaś leżała na ziemi, wyciągnięta w stronę bramy, z palcem wskazującym ku wnętrzu świątyni. Zorientowawszy się, że ma przed sobą fray Tomása, zakrystian skierował wzrok ku niebu i przeżegnał się. Potem przykucnął obok leżącego, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Dominikanin miał oczy i usta szeroko otwarte, zastygłe na zawsze w grymasie przerażenia. Na jego obnażonym języku, niczym hostia, błyszczała moneta. Kościelny pochylił jeszcze niżej głowę i stwierdził, że to tylko mały miedziak o niewielkiej wartości, postanowił więc go nie dotykać.